

Mowa jest srebrem

2T dwutygodnik.com/artypul/5734-mowa-jest-srebrem.html



Rozmowa z Oskarem Dawickim

Na etapie zdjęć wszystko układało się świetnie, doświadczenie planu było miesięcznym transem, po którym powrót do rzeczywistości okazał się bardzo szorstki. Powstał portret o tyle mój, że jak zawsze nieudany – Oskar Dawicki o pokazywanym na Berlinale „Performerze”

ADAM KRUK: Na Festiwalu Filmowym w Berlinie odbyła się premiera „Performera” Łukasza Rondudy i Macieja Sobieszańskiego, w którym występujesz. Jak czułeś się w roli gwiazdy filmowej?

OSKAR DAWICKI: Ponieważ pytanie jest ironiczne, odpowiadam równie ironicznie: jak ryba bez akwarium!

Niczym Marina Abramović doczekałeś się swojego filmu...

Oczywiście uwielbiam Marinę, cenię, podziwiam, ale moją Mariną Abramović jest Zbigniew Warpechowski. To jest to pokolenie, ta wrażliwość, ten archetyp, a przy okazji mam zaszczyt znać go osobiście.

„Performer”

Film fabularny w reżyserii Łukasza Rondudy i Macieja Sobieszańskiego, wyprodukowany przez Wajda Studio na podstawie powieści „W połowie puste” Łukasza Gorczyca i Łukasza Rondudy. „Performer” otrzymał w tym roku THINK: FILM AWARD przyznaną w ramach sekcji Forum Expanded na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie za "kreatywne wykorzystanie medium filmowego dla artystycznego uchwycenia i oddania geopolitycznych kontekstów, a co za tym idzie poszerzenia zakresu estetycznych doświadczeń i stymulację zmian w perspektywie ich postrzegania."

Kiedy pierwszy raz zetknąłeś się z jego sztuką?

To mógł być jakiś 1993 rok – studia, dosyć ponury dla mnie czas. Szkoła nie była szczególnie godna polecenia. Cieszę się jednak, że był to uniwersytet i miałem np. logikę albo przyzwoitą filozofię, czego na Akademiach Sztuk Pięknych nie było. Natomiast brakowało autorytetów, a ja byłem dość idealistycznie usposobionym młodzieńcem, poszukującym sensu życia. No i nagle, jak z nieba, pojawił się Warpechowski. Przypadkiem trafiłem na spotkanie z nim, po którym zrobił performans i wyszedłem stamtąd już jako zupełnie inny człowiek. A potem żyłem długo i szczęśliwie (śmiesz). Rzuciliśmy się na niego – bo było nas więcej – jak na koło ratunkowe. Zaczęliśmy jeździć do niego do Sandomierza, spotykać się, w końcu sami robić performansy.

Co zafascynowało cię w jego rozumieniu performansu?

Przede wszystkim jakiś niezwykle intensywny ładunek autentyczności. Często używam formułki, że był pierwszym żywym artystą, którego spotkałem. Pamiętam, że kilka miesięcy później znowu na niego trafiłem, będąc przejazdem na jakimś festiwalu. Przed nim totalnie pijany młodzieniec robił performans, który w najlepszym wypadku określić można było jako torsje punkowej dezynwoltury. I Warpechowski się wkurwił. Zrezygnował ze swojego planu i wybiczył się na znak pokory, po czym zrobił niezwykłą rzecz: postawił przed sobą jubilerską wagę, której wcześniej używał do innych celów – nacinał sobie czoło i balansował ją przy pomocy padających na nią kropli krwi. Ale tym razem, niesiony złością, powiedział, że on poruszy wzrokiem jedną z szalek. Klęknął przed wagą, wpatrywał się w nią, a ja przez kilka minut byłem pewien, że on to może zrobić. W każdym razie szalenie mu tego życzyłem, byłem z nim. Ostatecznie się nie udało, ale to już było drugorzędne – sam fakt podjęcia ryzyka, skoku w niewiadome był totalnie pociągający. W tym było coś żywego, prawdziwego, ludzkiego. Poezja w 3D?



Zbigniew Warpechowski na planie „Performera”, fot. Marta Cholest/ Wajda Studio

Jak ty pogodziłeś swoje akcje, opierające się na żywej interakcji, z medium filmowym, gdzie doświadczenie zapośredniczone jest poprzez ekran?

Byłem naturszczykiem, nagle znalazłem się w tłumie czterdziestu osób, starających się, jak wierzyłem, mi pomóc – ktoś mi poprawiał *make up*, ktoś mnie oświetlał, ktoś mówił, że w prawo, a ktoś jeszcze coś innego – w warstwie formalnej odpowiadało to strukturze performansu. Miałem swoją niewielką publiczność i robiłem to dla nich – oni byli moim lustrem. Sytuacje w rodzaju: „dobra, świetnie, mamy to – ale zróbmy to jeszcze raz” nie są wprawdzie porównywalne z występami na żywo, ale za każdym razem, kiedy wchodziłem w kolejne akcje, odnosiłem je bardzo mocno do moich doświadczeń performatywnych. Na ich energii oparte były wszystkie solowe sceny, a jest ich w filmie sporo. Inaczej było, kiedy towarzyszył mi aktor. To było najbardziej nowe, trochę straszne, trochę śmieszne.

Oskar Dawicki

ur. 1971, z wykształcenia malarz, jeden z twórców nieistniejącej już Supergrupy Azorro. Już w trakcie studiów zainteresował się sztuką performansu, której pozostał wierny przez kolejne lata, by po roku 2000 rozszerzyć pole swego działania o prace wideo, fotografie, dokumentację, a w końcu również objekty i instalacje. Wszystkie prace mają postkonceptualny charakter i utrzymane są w lekko groteskowym, ironicznym stylu.

W 2011 r. ukazała się powieść o życiu i twórczości Oskara Dawickiego „W połowie puste” autorstwa Łukasza Rondudy i Łukasza Gorczycki. Książka była inspiracją dla pełnometrażowego filmu „Performer” (reż. Maciej Sobieszczański, Łukasz Ronduda), który został właśnie zaprezentowany na festiwalu filmowym w Berlinie. Poza Oskarem Dawickim w filmie grają profesjonalni aktorzy, m.in. Andrzej Chyra i Agata Buzek, oraz osoby ze świata sztuki, m.in. Anda Rottenberg i Zbigniew Warpechowski.

Andrzej Chyra, Agata Buzek, Jakub Gierszał – jak współpracowało ci się z aktorami tej klasy?

Myszę, że na początku mogli być trochę rozbawieni moimi „aktorstwem”, ale czułem solidne wsparcie z ich strony i zaufanie. Mieliśmy wcześniej jakieś próby – raczej czysto techniczne, fotograficzne przymiarki. Pomogło to, że mieliśmy super *movie crew*, co na planie wydzieliło dodatkową energię. Wypiliśmy wino, zadzierzgnęły się czysto ludzkie relacje i nie czułem, że obcuje z jakimiś (za przeproszeniem) celebrytami.

Czym różni się bycie aktorem od bycia performerem?

Moim zdaniem aktor to jeden z najstraszniejszych zawodów na świecie. Taka kombinacja uwielbienia z upodleniem w jednym podmiocie jest nadzwyczajna. Z jednej strony świat cię kocha, chce być taki jak ty, a nawet być tobą, z drugiej – musisz się chować, bronić przed tłumem. Prujesz flaki przed kamerą, wyrzucasz z siebie co tam masz najgłębiej, a potem ktoś w montażowni stwierdza, że to nie pasuje do rytmu, albo producent zleca badanie rynku i wszystko leci do kosza. Tych kontrydykcji jest znacznie więcej. A wszystko sprintem, przy dużej konkurencji. Ja bym nie dał rady.

Zawód artysty – jeśli można go nazwać zawodem – też nie jest najłatwiejszy. „Performer” gra z romantycznym mitem artysty cierpiącego, zapijaczanego, pogrążonego w depresji. Ile w tym obrazie jest z ciebie?

Jeżeli pytasz, czy mam problem alkoholowy, to poproszę następnego pytanie (śmiech).

W takim razie powiedz, jak odnajdujesz się w relacji z rynkiem sztuki, którą film problematyzuje.

Bez wodotrysków, zwłaszcza jeśli robi się tak trudne do zabrania do domu rzeczy, jak moje. Nie chciałbym pomstować czy przesadzać z autowiktylizacją, ale bywa krucho. Z rynkiem mam flirtik niekoniecznie gorący, funkcjonuję sobie jakoś na jego obrzeżach. Na szczęście od dawna nie robię tak zwanych fuch, co znaczy – żyję, choć ledwo, ale z mojej sztuki.



Oskar Dawicki na planie „Performera”, fot. Marta Chyły/ Wajda Studio

Mimo tego, że jesteś reprezentowany przez jedną z najważniejszych galerii w Warszawie, a bez twojego nazwiska trudno byłoby opowiedzieć dwie ostatnie dekady w polskiej sztuce?

To miłe, co mówisz, ale niestety nie ma przełożenia na rzeczywistość. Taka jest specyfika polskiego rynku sztuki, który jest bardzo młody, bo zaczął rodzić się dopiero po tzw. transformacji ustrojowej. Wcześniej nie było komercyjnych galerii. W zachodnim świecie te struktury wykształciły się dużo wcześniej i mocniej. Publiczność została przygotowana, były pieniądze, był czas na zdrowy snobizm i autentyczne zainteresowanie. U nas jest to wciąż karłowata buczyna w porównaniu z borem dębowym, który porasta chociażby Niemcy czy Anglię. Tam inaczej traktuje się sztukę współczesną. Nawet niższa klasa średnia stara się mieć na ścianie coś innego niż ma sąsiad, coś niekupionego w kiosku na wycieczce w górach.

Performans jest sztuką, którą trudno kupować, przechowywać, instytucjonalizować. Łukasz Ronduda mówił w Berlinie, że film miał poniekąd spełniać funkcję katalogu twoich prac. Czy można traktować „Performera” jako twoje artystyczne portfolio?

W jakiś sposób może i tak. Sporo z mojego tzw. dorobku udało się tam upchnąć, choć brakuje też wielu ważnych dla mnie rzeczy. Jeżeli jest to moje portfolio, to zaryzykuję twierdzenie, że co najmniej w połowie puste. Łukasz przyjął taką formułę, że „Performer” jest wystawą sztuki nanizaną na fabularną nitkę. Mnie bez wątpienia pociągała szansa na jakieś drugie, trzecie życie dla moich akcji, które egzystują głównie przy pomocy kulawych zdjęć lub śniejących VHS-ów. Co prawda żyje jeszcze kilka osób, które widziały je na żywo, ale nie jestem pewien, czy nie cierpią już na demencję (śmiech).

W jakiej mierze czujesz się autorem „Performera”?

Choćby dlatego, że nie jestem Woodym Allenem, od początku było dla mnie jasne, że nie mogę reżyserować sam siebie. Musiałem komuś zaufać. Na etapie zdjęć wszystko układało się świetnie, doświadczenie planu było miesięcznym transem, po którym powrót do rzeczywistości okazał się bardzo szorstki. Problemy pojawiły się przy edycji, bo wszyscy mieli swoje pomysły, a materiał był jeden. Rafał Listopad, który był już trzecim z kolei montażystą, jakoś z tego wybrnął. Oczywiście firmuję ten film swoją tutaj obecnością, nazwiskiem etc., etc., ale wiem też, czego tam nie ma. Jest to portret o tyle mój, że jak zawsze nieudany.

Performans Oskara Dawickiego przed pokazem filmu na tegorocznym Berlinale

Jak zareagowałeś na fakt, że ten nieudany portret dostał się do sekcji Forum na Berlinale?

Naturalnie to bardzo przyjemne. Berlinale to marka, która działa bardzo dobrze marketingowo. Z tego, co wiem, pojawili się już jacyś dystrybutorzy. Zobaczymy.

Po festiwalowym pokazie pojawiały się różne opinie – od zachwytów po oskarżenia o fallocentryczną wizję artysty. Jak odpowiadasz na zarzuty o genderową niepoprawność filmu?

Nie traktuję ich osobiście. Nie mam w sobie nic z macho ani z Savonaroli, ale sądzę, że nie każdy film musi być o kobietach. Wydaje mi się to mechaniczne, by nie powiedzieć niesubtelne, tak parytetowo traktować rzeczy tak mało uchwytnie, jak sztuka. W praktyce społecznej to może mieć sens, ale w kreacji artystycznej – już nie.

Coraz więcej – także na polskim gruncie – pojawia się przypadków przechodzenia ze świata sztuki do filmu. Czy „Performer” jest dla ciebie początkiem takiej drogi?

Po pokazie w Berlinie były sugestie, by pójść w sequel (śmiech). Wydaje mi się jednak, że to jednorazowa przygoda. A już na pewno nie nadawałbym się na reżysera. Dobry reżyser to słodki tyran poszukujący sponsora. Ja jestem chyba za słaby, zbyt leniwy i jeszcze mnóstwo innych „zbyt”, żeby tak zdominować rzeczywistość i zapanować nad wszystkim – mam inne strategie, inaczej obchodzę się z ludźmi. Szczególnie koszmarnie jest zdobywanie tych środków, tych milionów, tych mecenasów... Robienie filmów to gehenna i krwawy sport.

Jeżeli reżyser jest słodkim tyranem, to kim w takim razie jest artysta?

Nie mogę powiedzieć. Mowa jest srebrem...